ROK PIĄTY.

—

№ 44.

WARSZAWA

d. 16 (28) października

1860.

REDAKCYA

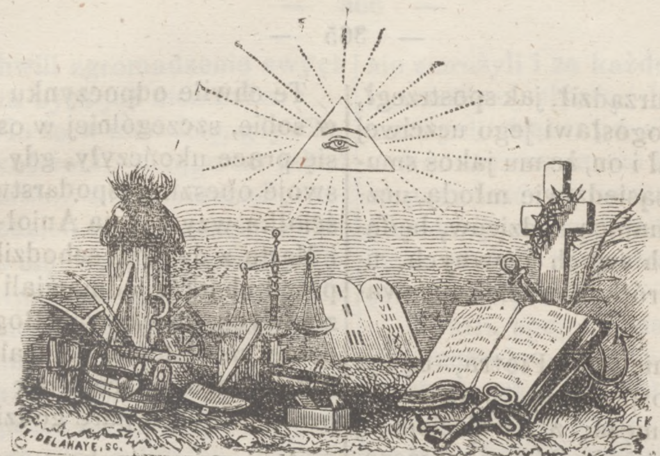
CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.

NIEDZIELA.

22ga po Świątkach.



„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Zawsze ten ma co dać, któremu na dobrej woli nie zbywa. (*Czytania Bractwa Miłosierdzia na każdą Niedzielę roku przez X. P. Skargę*).

Chatka Piotrowa.

—

Na żyznych łanach krakowskiej ziemi, niedaleko starego grodu Krakowa, zwracała uwagę porządnie odbudowana wioska. W końcu jej, jakby osobną stanowiąca osadę, wznosiła się chatka, z małym warzywnym i owocowym ogródkiem; przed chatą dwie drewniane ławeczki, przed niemi stara lipa, a z boku para zabudowań gospodarskich, równie schludnych, równie porządnych jak i sama chatka.

Pan Piotr dziedzic tej małej zagrody, dziś sędziwy starzec, zamłodu, jak to mówią, nie z jednego pieca chleb jadał. Wychowany w domu zacnych rodziców, których smutne wypadki kraju przyprowadziły do zupełnego upadku, w bardzo młodym wieku wstąpił do wojska, i tak ten stan ukochał, tak przejął się jego powinnością, że służąc prawie bez przerwy lat przeszło 30, będąc wszędzie, gdziewawrzyny chorągwie jego zbierały, gdy znękany trudami i ranami musiał swą szablę zawiesić na ścianie, to rzewnemi skropił ją łzami, i zawsze to powtarzał, ile razy zdejmował ją z kółka, aby okurzyć i zobaczyć, czy nie zardzewiała. Po opuszczeniu służby wojskowej, pan Piotr zebrawszy kilka tysięcy, które mu dobrzy ludzie jako zachowaną i przekazaną dlań spuściznę oddali, zakupił sobie kawałek gruntu przy wiosce, o którejśmy wspomnieli, wybudował chatkę, założył ogródek, wystawił zabudowania, kupił potrzebny inwentarz i wziął się całą siłą do pracy. Oczy wszystkich sąsiadów ciągle były zwrócone na starego wojaka, jak go już wtedy nazywano w okolicy; a kiedy w święto lub w niedziele pokazał się w kościołku, to mimo lat przeszło pięćdziesięciu, mimo kilku kres, które zdobiły czoło p. Piotra, niejedna matka marzyła mieć go za zięcia, niejedna młoda dziewczyna za męża i opiekuna, tak miłą była ta twarz poważna, ta postawa szlachetna, i ta para wstążeczek zatkniętych w pętlicy guzika przy porządnej kapocie. To też nie długo był samotnym sta-

ry wojak. Jak tylko się urządził, jak spostrzegł, że ręka Opatrzności błogosławi jego uczciwej i usilnej pracy, pomyślał i on, że mu jakoś smutno samemu, poznał w sąsiedztwie młodą, uczciwą dziewczynę nie mającą rodziców, będącą na opiece u dalekich swych krewnych, upodobał ją sobie i w krótkim czasie zaprowadził przed ołtarz.

Marta, takie było imie żony Piotra, będąc pracowitą, zabiegłą, gospodarną, była prawdziwą podporą swego męża; a z wejściem jej w dom Piotra, zdawało się że Bóg nowe szczęście do tej małej chatki wprowadził.

Pracę za domem i w domu rozdzielili między siebie, i wszystko tak im szło składnie, tak ich pracy Pan Bóg błogosławił, że stary żołnierz nie wiedział, jak ma dziękować Przedwiecznemu za tyle łask, jakie prawie każdej godziny zlewał na dom jego.

Marta własną ręką uprawiała grzędy ogródka, a co tylko zasiała, to tak obfite wydawało plony, jakich się sama nigdy nie spodziewała. W kolebce kołysał się mały Janek, w oborze trzy krówki pod jej opieką pięknie się chowały, a i trzoda i drób' coraz bardziej się rozmnażał. Miała też Marta serdeczne zadowolenie, kiedy mogła ze swej pracy jakie parę garncy masła, kilka serów, pare kóp jaj posłać na targ do miasteczka i zebranym za to groszem powiększyć kasę swego męża. Piotr równie był szczęśliwy w swem gospodarstwie: ręka nawykła do szabli, dzielnie kierowała pługiem, rzucała ziarno w ziemię, oczyszczała drzewa owocowe, ustawiała ule, podbierała pszczoły; a chociaż Piotr nigdy się tego nie uczył, to czegóż człowiek przy szczerej chęci, przy radzie dobrej i błogosławieństwie Bożem dokazać nie potrafi? Do stajni oprócz poczciwego siwosza, dawnego w wojaczce towarzysza, który już na łaskawym zostawał chlebie, przybyła para ładnych koników, do obory druga jeszcze para wołów, a to wszystko w czasie niedługim.

Tak minęło kilka lat szczęśliwego pożycia w małej chatce; te lat kilka dla nowożeńców zdały się jedną chwilą szczęścia. Każdy w nich dzień podobny do drugiego, ta sama praca, to samo zajęcie, ten sam odpoczynek po pracy, latem na drewnianych ławeczkach przed chatką, a zimą przy kominkowym ogniu.

Te chwile odpoczynku miały coś uroczego w sobie, szczególniej w ostatnich latach. Gdy się prace ukończyły, gdy Piotr swoje, a Marta swoje obeszli gospodarstwa, gdy dzwonek kościołka wzywał na Anioł-Pański, wtedy Piotr i Marta z dziećmi schodzili się na ławeczkach przed chatką, odmawiali modlitwę za duszę zmarłych, dziękowali Bogu za dzień przepędzony szczęśliwie, polecali siebie, dzieci i dobytek Jego opiece, i tak na miłej pogadance przepędzali po parę godzin.

A tym pogadankom przysłuchiwał się już z uwagą pięcioletni Janek, synek ich pierworodny, a Marta usypiała małą Marychnę na ręku.

Piotr z rozczuleniem spoglądał na ten dowód błogosławieństwa Bożego, jak dziecko bawił się z małym Jankiem: to strugał mu drewnianą szabelkę i wyzywał do walki, to znowu gdy stary siwosz przyszedł jak zwykle przed chatę po kawałek chleba z rąk Marty i po pogłaskanie od Piotra, Piotr wsadzał małego Janka na niego i obwoził naokoło lipy, a stary siwosz jakby rozumiał tę zabawkę, jakby zgadywał myśl swego pana, postępując wolno, podnosił łeb do góry i rżał radośnie.

Takie to były pierwsze sześć lat pożycia Piotra i Marty.

* * *

Człowiek nie do samych rozkoszy i szczęścia rodzi się na świecie. Nigdy on po samych kwiatach nie przebiega drogi życia; Bóg często na swych nawet ulubieńców zsyła różne dolegliwości i cierpienia.

W każdym razie człowiek z wytrwaniem dopuszczenia te znosić powinien, a one przeminą i znowu słońce szczęścia będzie jego życiu przyświecać.

Naraz jeden szczęście, ten nieodstępny przez lat sześć towarzysz, odbiegło Piotrów zupełnie. Nastała wiosna: w ogródku i na polu grunt jednakowo obrobiony, jednakie plony obiecywał. Cieszyli się też oboje, patrząc na bujnie wschodzące zboża i jarzyny, na drzewa gęstym kwiatem pokryte.

Piotr zebrał ostatni grosz, jaki miał w domu i wystawił nową stodołę, na którą się od paru lat zbierał, i błogosławiąc, a dziękując

Bogu, oczekiwał chwili zgromadzenia swych zbiorów, a chwila ta była już niedaleka.

Dnia jednego, było to w niedzielę, gdy Piotrowie powrócili z kościoła; obojgu im jakoś było markotno, smutno, a nie wiedzieli czemu. Po obiedzie siedzieli na ławeczce, zwierzając i pocieszając się wspólnie, a mały Janek jeździł na drewnianym koniku naokoło lipy; słoneczko ładnie świeciło. Piotr spojrzał na nie i rzekł do żony:

— Aby tylko nie było burzy!

Poczem wyszedł przed chatę, obejrzał się naokoło: niebo było czyste, tylko na północy maleńka plamiła je chmurka. To uspokoiło go nieco, a zwłaszcza, że nadeszło kilku panów braci, sąsiadów jego i zasiedli razem przy dzbanku miodu sycenia pana Piotra i z własnych jego uli. Przy pogadance, przy zajmujących opowiadaniach Piotra, których wszyscy z uwagą i prawdziwą przyjemnością słuchali, kilka godzin przeszło niespostrzeżenie; dzwonek dopiero wzywający na nieszpory, rozłączył to przyjemne towarzystwo, poczem Piotrowie udali sie znowu do kościoła.

Powracającego Piotra do domu nadzwyczaj nie pokoiła owa maleńka chmurka, która przybierając coraz większe rozmiary, w tej chwili prawie pół widnokręgu zakrywała; powietrze było ciężkie, jaskółki nizko szybowały; wszystko zapowiadało blizką burzę. Do samego wieczora stan ten nie zmienił się wcale.

Piotr jak zwykle siedząc na ławeczce z żoną i dziećmi, był jakoś niespokojny, co chwila podnosił się, wychodził przed chatę, przyglądał się tym czarnym obłokom, żegnał je i znowu smutny powracał na ławeczkę.

Ani figle małego Janka, ani poczciwy siwosz nie mogły go rozerwać, tak mu było czegoś smutno, tak jakieś złe przeczucie trapiło starego wojaka; podzielała je w części i żona. To też oboje poddając się opiece Boga, trochę już spokojniejsi udali się na spoczynek.

Około północy huk piorunu przebudził Piotra i żonę; noc była ciemna, błyskawice co chwila pruły niebo i mimo zamkniętych okiennic, oświecały rażącym blaskiem sypialnię. Ciągłe grzmoty wtórowały piorunom, a deszcz bił tak silnie w zamknięte okienice, iż zdawało się, że okna powypadają. Burza trwała do rana; Piotrowie przez resztę nocy już oka nie zmrużyli i za każdem nowem błyśnięciem i grzmotem, słychać było tylko z obojga ich ust wychodzące: „A słowo stało się ciałem.“

Nad samem ranem burza ustawać, a niebo wypogadzać się zaczęło; Piotr niespokojny, wcześniej jak zwykle zerwał się z łóżka, toż samo zrobiła i jego żona, i oboje razem wyszli przed chatę.

Wyszli, spojrzeli na swoje pola, na ogródek, zabudowania, spojrzeli potem na siebie, Marta krzyknęła: Boże mój Boże! i twarz ręmi zakryła, a Piotr zdjął czapkę z głowy, padł na kolana, wzniosł wilgotne oczy w górę, wyciągnął ręce i z głębi serca głosem przytłumionym mówił: Bądź twoja wola święta, Ojcze i Panie nasz!

Za przykładem Piotra poszła i Marta i tak klęczących oboje pierwszy promień wschodzącego słońca oświecił i odbił się tysiącem kolorów we łzach, które powoli toczyły się po licach starca.

Na polu, w ogrodzie, na drzewach, wszystkie plony deszcz zbił zupełnie, tak że trudno było rozróżnić, gdzie co było zasiane, nadto wicher wywrócił nowo-wystawioną stodołę, poobalał drzewa, a starą lipę stojącą przed chatą wyrwał z korzeniami.

Po skończonej krótkiej modlitwie Piotr powstał, przycisnął klęczącą Martę do piersi, pocałował w głowę i rzekł:

— Uspokój się Marto, taka wola Boga!

Te słowa powtórzyła, łkając jeszcze Marta, i zdawało się, jakby zupełnie uspokojeni poszli zbliska przypatrzyć się nieszczęściu swemu. Burza ta dała czuć się i w całej wiosce, głównie wszakże wściekłość swą wywarła na części Piotrowej.

Sąsiedzi z współczuciem przybiegli pocieszać starego żołnierza, każdy co mógł, to przyniósł w podarunku i na zapomogę, a Piotr znowu sił nabrał i podawnemu wziął się do pracy. Ale musiał się zapożyczyć, co mu było najboleśniejsze.

* * *

Mówią ludzie, że nieszczęście nigdy samo nie przychodzi; tego przynajmniej doznał nasz Piotr. Zaledwie trochę oswoił się z pierwszem swojem nieszczęściem', gdy nowe znowu miało go dosięgnąć. Następowała jesień; dobrzy sąsiedzi pożyczyli zboża

na zasiew, pożyczyli pieniędzy na zabudowanie stodoły, która już napowrót stanęła. Piotr zaczął usilnie pracować i przygotowywać pole do siewu, sprzedał ulubioną parę koni z wielkim żalem, sprzedał i dwie krówki Marty, wółki tylko pozostawił dla wspólnej pracy i poczciwego siwosza, a Marta swoję łysą krówkę, którą od cielęcia sama wychowała.

Czeladka Piotrowa składała się z jednego parobka, dziewki do posługi w domu i małego chłopaka, który pasł bydełko i trzodę. Parobek i chłopak sypiali w oborze, która zarązem była i stajnią.

Zabudowania gospodarskie składające się z wspomnionej obory, dwóch stodół, pary chlewików, stały tak blisko chaty Piotrowej, że się prawie z nią stykały.

Było to w połowie miesiąca października. Parobek Piotra zaproszony został na wesele swego kuma; poszedł więc wcześniej, a obrzęd około bydła powierzył chłopcu. Noc była ciemna, chłopak po wieczerzy, na której dłużej jak zwykle się zabawił, wracając do obory, wziął ukradkiem parę zapałek, których Piotr strzegł pilnie, i kładąc się na spoczynek, zapalił jednę, potem kawałek łuczywa wetknął między bale, obejrzał wołki i krówkę, zgasił łuczywo, i jako młody, ledwie głowę położył, zasnął snem twardym; a tymczasem węgiel uroniony od łuczywa zatlił leżące snopki słomy i powoli ogień się szerzył.

Około północy nagła jasność wdzierająca się przez szczeliny okienic do izby przebudziła Piotra i Martę; w pierwszej chwili przerażeni pamiętną burzą, sądzili, że to błyskawice i znowu: „A słowo ciałem się stało,“ mimo woli wyszło z ust Piotra i jakby echem odpowiedziała na nie Marta; lecz gdy chwil parę jasność nie gasła, ale się zwiększała, Piotr wyskoczył z łóżka, wybiegł przed chatę, i ledwie nie padł z przerażenia, całe zabudowania swoje zobaczywszy w płomieniach. Wybiegła i Marta ledwie żywa z przestrachu i trwogi, przybiegli na ratunek i sąsiedzi, ale ratunek był próżny. Wiatr, który wzmógł się w tej chwili, przenosił szybko ogień z budynku na budynek, i wszyscy zajęci ratowaniem zabudowań, ani spostrzegli, jak chatę płomień ogarnął. Marta w tej chwili odzyskała całą przytomność; nie bacząc na niebezpieczeństwo, wpadła do izby, aby ratować swe dzieci, Piotr z sąsiadami wynieśli parę sprzętów, a o dalszym ratunku i myśleć nie można było. W parę godzin ze wszystkich zabudowań pozostały tylko stosy kurzących się jeszcze szczątków. Ani krówki, ani wołów, ani nawet starego siwosza nie uratowano.

Piotr z załamanemi rękoma stał nieporuszony, zdawało się, że życie opuściło starca: włosy powstały na głowie, oczy zamglone w jedno patrzyły miejsce; nic nie widział, nic nie słyszał, tylko strumienie łez płynących po twarzy były oznaką życia staruszka. Marta siedząc na ziemi przy kilku wyratowanych sprzętach, tuliła płaczące dzieci do łona, sama zanosząc się od płaczu; był to obraz rozdzierający serce każdego.

Starsi gospodarze wioski w tej chwili zrobili naradę między sobą i poczciwi spierali się o to, kto ma zabrać do siebie Piotrowstwo, kto i jakim sposobem podać im rękę pomocy; każdy chciał być pierwszym, a nikt nie śmiał przerwać tej milczącej boleści Piotra, bo nikt znaleść nie mógł wyrazów pociechy. Nareszcie stary Jakób zbliżył się do niego, wziął za ręce, które zaraz bezwładnie opadły, potrząsnął starcem i sam nie mogąc od łez się wstrzymać, rzekł:

— Panie Piotrze! to dopuszczenie Boże... upamiętajcie się... ot lepiej uspokójcie żonę, a przecież jakoś to będzie; ja was dzisiaj zapraszam do siebie.

Na te słowa ocknął się starzec, wzrokiem obłąkanym spojrzał naokoło, przycisnął dłonie do twarzy, jęk rozpaczy rozdarł jego piersi. Chwiejącym krokiem zbliżył się do żony, uściskał ją razem z dziećmi i głośne łkanie całej rodziny zlało się w jeden ton rozpaczy. Scena ta bolesna trwała dość długo; żadne uspakajające słowa pociechy sąsiadów przerwać jej nie mogły.

— Już nic nie mamy, a jam stary! te tylko słowa powtarzał ciągle biedny wojak.

Nakoniec stary Jakób uzbroiwszy się w odwagę, niby gniewliwie ofuknął Piotra.

— Wstydźcie się panie bracie! a cóż to nie macie Boga, nie macie żony i dzieci, nie macie sąsiadów, co was kochają? nie pracowaliście to życie całe na imie poczciwego i miłość ludzi? Alboż tego, co przepadło, odbić nie można? Ot dajcie pokój takiemu frasunkowi, polećcie się Panu Bogu i chodźcie teraz

z nami, bo i noc zimna i dzieci potrzebują ogrzania.

Te serdeczne słowa przyprowadziły Piotra do przytomności; jakby ocknięty z letargu, chwycił za dłoń Jakóba i z rozrzewnieniem, ale już spokojnie odpowiedział:

— Prawda kochany sąsiedzie, zgrzeszyłem mocno, żem przez tę chwilę zapomniał o tem wszystkiem; ale boleść siły moje złamała.

To powiedziawszy, ukląkł, wzniósł ręce do góry i zalany łzami, przytłumionym głosem modlił się, a modlitwę tę słowo w słowo powtarzała i Marta:

„Boże Ojcze i Panie mój! chciałeś, dopuściłeś i stało się, święć się Imie Twoje. Jam człowiek, zgrzeszyć musiałem przeciwko Tobie... nie karz mnie, nie sądź mnie .. Jednak we wszystkiem nie moja, ale Twoja wola niech się stanie!“

Po tej modlitwie powstał, wziął pod rękę żonę, która trzymała Marychnę, wziął małego Janka na ręce i razem wszyscy poszli do mieszkania Jakóba, a inni sąsiedzi mieli staranie o pozostałych sprzętach.

* * *

Dni kilka Piotrowstwo przepędzili u poczciwego Jakóba; Marta z przestrachu i przeziębienia zapadła w niemoc. Piotr znękany przemyśliwał nad tem, jakby znowu mógł przyjść do swojej własności... i nic wymyśleć nie mógł. Pożyczka zaciągnięta pierwszym razem wynosiła tyle, że ledwie sprzedawszy grunt pusty, mógł się z niej uiścić; a dla niego nic już nie pozostawało. Myśl ta okropnie trapiła jego serce; ale stary wojak ufał opiece Boga, a nie widząc nic innego przed sobą, umyślił osadzić tymczasowo u Jakóba żonę i dzieci, sam pójść szukać dla siebie jakiej służby i groszem ztąd zebranym, dopóki sił starczy, przychodzić w pomoc rodzinie. Gdy myśl swoję odkrył poczciwemu Jakóbowi, ten zmartwił się niemało, uprosił Piotra, by się wstrzymał jeszcze parę dni z wypełnieniem swego zamiaru, a tymczasem zrobił naradę ze starszymi we wsi. Pomysł Jakóba z chęcią przyjęto, i Piotr ani się spostrzegł, jak mu złożono na zasiew pola i utrzymanie domu. Dziedzic pozwolił drzewa na odbudowanie folwarku, gospodynie zaopatrzyły Martę to nośną kurą, to kilku kurczętami, to gąską, to parą kopami jajek; znalazła się i krówka i parę wołków do roboty, a wszystko to zgromadzili dobrzy sąsiedzi, umiejący cenić poczciwość starego wojaka.

Gdy Piotr zapomożony wziął się do pracy, pierwej nim chatę i zabudowania swoje zaczął budować, w miejscu, gdzie stała stara lipa, umyślił postawić krzyż: raz na pamiątkę swego nieszczęścia, a potem, aby mu to godło zbawienia przyniosło błogosławieństwo. Kiedy krzyż był już ukończony i czekał poświęcenia przez miejscowego proboszcza, Piotr własną ręką kopał dół do wpuszczenia go w ziemię; gdy już ostatni wyrzucał rydel ziemi, rydel się oparł i iść dalej nie chciał. Piotr sądził, że to kamień: zaczął okopywać naokoło i w miejsce kamienia wydobył znacznej wielkości żelazną szkatułkę napełnioną pieniędzmi.

Na ten widok pierwsza myśl przebiegła szczęśliwa; ale potem pomyślał poczciwy staruszek, że to nie jego, więc w przytomności świadków wydobył ją i odniósł dziedzicowi wioski. Dziedzic był zamożny i znał Piotra z jego poczciwości, sam nawet dużo się przyczynił do składki, jaką Jakób zbierał. Uważając pieniądze znalezione, jako prosty dar Opatrzności Bożej nad Piotrem, oddzielił połowę tylko tego, co mu się należało z prawa, a resztę części swojej przyłączywszy do części Piotra, dał mu w podarunku. Takim sposobem Piotr odzyskał w dziesięcioro stratę, w krótkim czasie odbudował piękniejsze jeszcze zabudowania, wypłacił się z długu, zaopatrzył w nowy inwentarz i znowu dni szczęścia zawitały do białej chaty Piotrowej. Piotr całą różnicę w tem tylko znajdował, że zamiast starej lipy, stał krzyż drewniany i że wieczorem siedząc na ławeczce, nie widział już swego siwosza.

Zresztą wszystko w krótkim czasie wróciło do dawnego stanu, a Piotr i Marta dziękując Bogu za to nowe szczęście, przypisywali je temu jedynie, że mężnie i po chrześciańsku wszystkie dopuszczenia znosili!

O szarańczy.

(*Dokończenie*).

—

Złożone w ziemi jaja szarańczy, wylęgając się na wiosnę równocześnie ze wschodem zbóż

ozimych i jarych, niszczy takowe bezpowrotnie. Wiosną wygubianie jej łatwiejsze, wylęgnięta bowiem nie lata, ale tylko skacze; napędza się ją więc do wykopanych w tym celu rowów, z których nie może wyskoczyć i tam gniecie się ją, pali słomą i zasypuje ziemią. Jeżeli jesienią zapadnie w lesie, zima jej nie szkodzi; na polach, gdzie znosi jaja, trzeba drobno orać, radlić, słowem rozkruszać ziemię dla wyrzucania na wierzch pęcherzyków, które przepadzista zima i mrozy niszczą.

w obwodach Kołomyjskim i Czortkowskim, następnie zaś przeciągnęła przez pola obwodów Stryjskiego, Stanisławskiego, Brzeżańskiego, Samborskiego i Przemyślskiego, gdzie spadłe tłumy szarańczy w wielu miejscach znacznie uszkodziły, lub całkowicie zniszczyły pozostałe w polu zboże i kukurydze. Oto, co o niej zpod Przemyśla do gazety Krakowskiej *Czas* piszą:

„W Wilję Śgo Bartłomieja (23 sierpnia) nawiedziła niepamiętna szarańcza okolice



SZARANCZA Z ROZPIĘTEMI SKRZYDŁAMI.

a) wyobraża jajka szarańczy po 4 rzędem składane.
b) pognój szarańczy.

Z Besarabii takoż donoszą, że ludność tameczna od dnia 11 do 27 lipca musiała staczać walki z szarańczą. Chmura szarańczy, która od Chersonu dostała się do Besarabii, miała długości 60, a szerokości 20 wiorst. Około 12tu tysięcy ludzi stanowiło pierwszą linię obrończą, a 8 tysięcy drugą i tępili szarańczę do 27 lipca; zupełne jednak wytępienie nie powiodło się tak, jakby sobie życzono.

Z Podola przeszła szarańcza w miesiącu sierpniu do Galicyi i pojawiła się najprzód

Przemyśla, czyli raczej dobra Medyckie. Dopiero w dzień Śgo Bartłomieja po południu, trzeba było widzieć, jakie harce wyprawiała w powietrzu ponad wsiami Starzawa, Buców, Poździacz, Szachynie, Medyka, Torki, Bolestraszyce, Wolawa, Stubno i t. d. Wystawcie sobie chmurę na sążeń grubą, a czasem i grubszą, zawisłą o kilka łokci od ziemi ponad wsiami wymienionemi, ów szum i łoskot skrzydełek tej gawiedzi, cień padający na ziemię i ruszający się jakby od rozrzu-

conego mrowiska, trwogę ludu, co miał jeszcze zboże na polu; wystawcie sobie to rojenie się ciągłe przez jakie dwie godziny tego strasznego owadu, na tej kilkomilowej rozległej przestrzeni, a będziecie mieli wyobrażenie zjawiska, na jakie my się z odkrytemi głowami i z modlitwą na ustach patrzeć musieli. Tylko Opatrzność nie chciała zguby tej żyznej okolicy, bo przed wieczorem poszły te roje nieprzejrzane ku Radymnowi i Jarosławowi i zginęły w sinych lasach. U nas została jeszcze jakby tylna straż i siedzi na nizinach Bucowa i Poździacza, i pożera trawę zieloną, owies na pniu prawie do szczętu tnie zębem i ziarno jęczmienia. Szczęściem jeszcze, że nie ma już innego zboża na polu, i że już tak jak po żniwach w tutejszej okolicy. Przerażający to widok tej szarańczy w takich ogromnych rojach i chmarach, robiącej szum i syk w powietrzu, co się nie da do niczego przyrównać, ale taką trwogą przejmuje, jak podobno żadne z dotąd widzianych zjawisk. Jak siadła na polu, to się zdawało, że pole porosło w grubą łuskę rybią, i gdzie stąpiłeś, tam cię otaczała chmura szarańczy, zrywającej się wkoło ciebie tak gęsto, że na kilka kroków niewidziałeś drugiego człowieka.

Przy końcu wreszcie sierpnia zawitała szarańcza na pograniczu Galicyi; według wiadomości ztamtąd otrzymanych, przelatywała znacznym bardzo pasem ponad wsią Tarnawatką i Rachodoszczami i ta część poszła na lasy Lipskie w Ordynacyi. Druga zaś większa chmura szarańczy ciągnęła 27 t. m. przez Tomaszów, a 29 widzianą była w Krasnobrodzie.

Co do szarańczy, jaka się rozgościła w wymienionych miejscach powiatu Zamojskiego, wyjmujemy poniższe szczegóły z listu do Gazety Warszawskiej z Zamościa pisanego z d. 24 września r. b. jako obchodzące ogół, mogący się słusznie trwożyć, aby wylęgnięcie złożonych w ziemię jaj przez szarańczę, przed jej wytępieniem nie sprowadziło z przyszłą wiosną straszliwej klęski nie tylko na przyległe okolice, ale nawet na kraj cały; podając zarazem wiadomość o sposobach przez władze miejscowe za pojawieniem się szarańczy użytych, dla skutecznego jej wytępienia.

Prócz obranego przez szarańczę pod Krasnobrodem miejsca do rozpłodu, liczniejsze jej masy w tym samym celu osiadły pod miastem Tomaszowem Ordynackim, na gruntach gminy Rogoźno, w dobrach odynacyi Zamojskich; początkowo zajęła przestrzeń pól zwanych Czołomyje, gdzie od 9 do 11 września ludność użyta z powiatu Zamojskiego i przyzwana z sąsiedniego powiatu Hrubieszowskiego, wytępiła ją prawie do szczętu; zdawało się, że pozostanie tylko zniszczyć nieliczne resztki i odszukać jaja.

Tymczasem inny nierównie większy wynikł kłopot, bo o dwie wiorsty od wybitej w Czołomyjach szarańczy, dostrzeżono przy lesie pod wsią Szarowola, w tejże samej gminie Rogoźno, chociaż na niewielkiej przestrzeni, ale w znacznej ilości osiadłą szarańczę, a dalej znowu o wiorst trzy od tego punktu, na polach także Szarowolskich pod samym lasem znaleziono przestrzeń około trzech wiorst długą, a 50 łokci szeroką, pokrytą rozpładzającą się szarańczą w przerażającej masie. Zaczynano już wątpić, czy ludzkie siły wytępieniu podołają.

Niszczenie rozpoczęto tam w nocy z d, 13 na 14 września. Zebrano w tym celu ludność z dwóch powiatów Zamojskiego i Hrubieszowskiego, który to ostatni powiat, będąc wolny od tej plagi, przyzwany został w pomoc przez Naczelnika powiatu Zamojskiego.

W Zamojskiem też, prócz wymienionych miejsc pod Tomaszowem i Krasnobrodem, nigdzie więcej nie dało się spostrzedz osiadłej szarańczy; w obu zaś powyższych punktach, sam owad dniem i nocą tępiony, przy używaniu kolejno po 600 ludzi pod Krasnobrodem, a po 900 pod Tomaszowem już prawie za wyniszczony można uważać. Wytężono w tej mierze siły i działano pośpiesznie, nie dlatego, aby szarańcza jakie szkody czyniła na pustych już polach, lecz aby szybkością wybicia, jak najmniej miała czasu do złożenia w ziemi zarodów rozpłodu.

Tenże donoszący pisze dalej, że władze miejscowe głównie nad tem obecnie pracują, aby po zupełnem wybiciu reszty owadu, gdy już nie będzie samic znoszących jaja, dokonać najważniejszéj czynności wyzbierania i wyniszczenia złożonych w ziemi zarodków przyszłorocznego pokolenia. W tym celu miejscowy Naczelnik powiatu zarządził: wszystkie pola, na których szarańcza jaja zakopać mogła, zaraz przed zimą, w pogodnych dniach

października płytko motykami, w głębokości od jednego do dwóch cali przekopać, jaja na powierzchnię wydobyć, wyzbierać i zniszczyć przez potłuczenie, pogniecenie i spalenie, a potem przez głębokie zakopanie resztek w doły. Aby zaś jak najtroskliwiej oczyszczoną została ziemia z tych jaj, następnie w drobne skiby rolę poorać i znowu jaja zbierać, a z kolei bronować, znowu napoprzek orać i znowu bronować, za każdym razem z równą starannością zbierając jaja. Reszta jaj ruszona z ziemi, powinna wyginąć w części od mrozu, a w części od ptastwa i nierogacizny.

Chętny współudział ludu pod kierunkiem władz miejscowych, powiada w końcu piszący, daje rękojmię ukończenia pomyślnie środków, odwrócić zdolnych rozpłodnienie się szarańczy w Królestwie. Włościan i mieszkańców miast tylko początkowo potrzeba było przekonywać o potrzebie wyjścia do tej roboty, zwłaszcza do pracy nocnej; teraz zewsząd, gdzie rozkaz otrzymali, śpieszą dla własnego i ogólnego interesu odwrócić przyszłą klęskę. Każdy ma obowiązek przynosić z sobą worki do pakowania, parę pęczków słomy do palenia i narzędzia do bicia szarańczy lub kopania jaj.

Najskuteczniejszem okazało się tępienie zastosowane do miejscowości, i tak: owad ten lokował się wszędzie tak; by znalazł obok siebie las, łąkę i pole. Na polu parzy się i znosi jaja, na łące żywi się trawą, a na noc idzie spać do lasu; ztąd nieustające odbywa ruchy między polem, łąką i lasem. Na polu najskuteczniej wybijanie odbywa się giętkiemi konarami sosnowych gałęzi, któremi ludzie idąc szeregiem, za każdym krokiem w ziemię uderzają; na łąkach już to nie jest skutecznem, lecz każdą pojedyńczą sztukę zgnieść trzeba, gdyż giętkość trawy osłania od zgniecenia silny kadłub owadu. Co więc nie było na polu i łące, to wraca na noc do lasu; od strony lasu zatem układa się przed wieczorem wał z suchych gałęzi. Owad wracając na noc z pola i łąki, napotyka ten wał, włazi pomiędzy gałęzie i znużony zbiera się tam gromadnie, a gdy spokojnie uśnie, w nocy jedni ludzie podpalają raptem słomą gałęzie, drudzy szeregiem poustawiani po obu stronach wału, nie puszczają uciekającej z ognia szarańczy, lecz łopatami, miotłami i wichami naganiają ją napowrót w ogień, w którym szarańcza pali się wśród przeraźliwego pisku.

Niszczenie znowu owadów wśród lasu odbywa się w ten sposób. Zapalone snopy słomy podsuwają się pod drzewa: niżej siedząca, szarańcza z opalonemi skrzydłami spada na ziemię; wyżej siedząca, dokąd silniejszy dym dosięgnąć może, przebudzona i odurzona dymem łatwo także opada. Tak spadły owad zbierają ludzie rękami, pakują w worki i wynoszą na stos palących się opodal ognisk, przy których kopią doły i w nie kupy spalonej szarańczy grzebią.

Wszelkie inne środki mniej skutecznemi się okazały; trzoda zrazu tylko pierwszego chciwie szarańczę pożera, następnych dni coraz mniej, w końcu nie chce jeść żywej tylko zabitą, naostatek żadnej zupełnie; wrony zapalczywie łapią i pożerają żywą szarańczę.

Miejmy nadzieję w nieograniczonem miłosierdziu Bożem, że kraj nasz od klęski tej z przyszłą wiosną zachowa; że przedsięwzięte skuteczne środki zapobiegną wylęgnieniu się w masie szarańczy, co gdyby się wszakże nie ziściło, to nie zakładajmy rąk w nierozważnem zwątpieniu, ale stawmy odważne czoło przeciwnościom, i weźmy się raźno do tępienia szkodliwego owadu, jako najniebezpieczniejszego wroga przyszłych plonów naszych!

Zdania.

Żyj, żyj i przy roli
Według Boskiej woli;
Żyjąc zaś przy glebie, jakbyś chciał żyć w niebie,
Będziesz i w potrzebie jeszcze wciąż przy chlebie!

—

Do chleba i nieba sta cnót człeku trzeba.

—

Szczera chęć ma bystre oko i dużo osięga.

—

Precz z swobodą i wygodą, gdzie idzie o gospodarkę.

Dniem i nocą, w piątek i świątek, chociaż już nie pracować, to myśleć i zabiegać trzeba.

—

Gospodarz pierwszy na nogach, ostatni w łóżku być winien. DODATEK.

Wykład nauki ogrodniczej.

NAUKA V.

Prowadzenie drzew w szkole, sadzenie owocowych.

—

42. Utrzymanie szkoły drzewek jest ważną rzeczą i zalecam wam w niej porządek i staranność. Dziczki zasadzajcie ile możności drzewek jednego gatunku przy sobie: jabłka przy jabłkach, gruszki przy gruszkach i t. p. Przy każdej sztuce wbijcie palik, niekoniecznie okrągły, lepiej kańczasty, gdyż o taki nie tak się drzewko obciera. Do palików przywięzywać łykiem lub powrósłem, aby prosto rosły. W ciągu lata na sztukach przyjętych odbierać wyrostki czy z korzenia, czy z boków i to dosyć często powtarzać, gdyż na drzewach robionych, zostawienie takich nie potrzebnych odrostów, szczep bardzo wyniszcza. Szkołkę też lekko gracą trzeba poruszyć parę razy do roku z ostrożnością, aby zrazów lub oczów na szczepach nie naruszyć.

43. W pierwszym roku, czy szczepionym, czy oczkowanym, zostawia się wszystkie pędy, w drugim dopiero roku okrzesywanie jest konieczném, i to odbywa się stosownie do tego, jakie drzewa mieć chcecie, czy wysoko pienne, czy półpnie, czy karły.

Nie rozumiecie zapewne tego, co mówię; wytłomaczę to jaśniej. Drzewo, którego pień od korzenia do korony ma najmniej trzy łokcie, zowiemy drzewem wysokiem; drzewo, którego pień ma od 2 do $2^1/_2$ łokcia, zowiemy drzewem średniem; drzewko zaś zupełnie niskie prawie przy ziemi rosnące, nazwiemy drzewem niskiem. Zatem będą drzewa wysokie, średnie i niskie. Rozumiecie to?... pamiętajcie.

44. W szkółce z nożem w ręku, jak mówiłem, w drugim roku możesz wyprowadzać drzewo jakie chcesz. Jeżeli będziesz odejmował boczne gałązki, drzewko rosnąć będzie prosto w górę, a jak podrośnie na cztery łokcie, to pozwolić mu rozrastać się w koronę, i będziesz miał drzewko wysokie.

Na średnie od dwóch łokci, dać rozrosnąć się w koronę. Drzewa zupełnie niskie dla was nie mają użytku; prowadzenie ich jest trudniejszem, przeto pomijam ich całkowicie.

45. Do pielęgnowania starannego należy, w razie gdyby zakwitły w szkółce, kwiat zbierać, gdyż wczesne owocowanie zniszczyłoby drzewko, a przynajmniej na długo rodzajność opóźniło. Obieranie z mchu, zbieranie owadów, również wam zalecam. O robakach szkodliwych i w jaki je sposób niszczyć, oddzielną później mieć będziemy naukę.

Na zimę owijać słomą nie ma potrzeby, po co ma się drzewko udelikatniać? Jak niewytrzymałe na zimno, to lepiej w szkółce, nie w miejscu niech zginie. Pnia samego do połowy owiązanie słomą prostą dlatego tylko zalecam, iż to będzie ochroną od szkody, jaką zwykle zające zimową porą robią w drzewkach.

46. W ten sposób poprowadzone drzewka w szkółce przez lat dwa, w trzecim roku już są zdatne do przesadzania na miejsce, gdzie stać mają.

Zrozumiejcie dobrze wprzód potrzebę przesadzania. Raz przesadza się dlatego, aby drzewo było na właściwem miejscu, potem, aby lepszy rodziło owoc, na co przesadzanie ma wpływ niezaprzeczony.

47. Najwłaściwszy czas do przesadzania drzew jest wiosna, byleby w czas, to jest przed ożywieniem się soków odbytem zostało. W jesieni tylko trzebaby kopać doły, w które drzewa przesadzać mamy. Gdy mamy przesadzać drzewa, miejsce przeznaczone urządzić w linję prostą, którą następnym sposobem przeprowadzić: Gdzie się linja zaczyna, zabij kół prosty, gdzie się linija kończy postaw drugi. Jak już masz te dwa koły, to wśrodku tkwij koły, ile ich potrzeba, a patrz po całej linii, aby był kołek w kołek, a będziesz miał linię jak strzelił, prostą.

48. Gdy masz linię wyprowadzoną, rozmierz ją na drzewa, jak stać mają. Jeżeli gruszki i jabłka wysokie, to pomiędzy jedną a drugą daj odstępu 15 łokci, jeżeli śliwka lub wiśnia, daje się odstępu 6 łokci. Drzewa średnie o połowę mniej miejsca potrzebują. W miejscu, gdzie ma być drzewo zasadzonem, wykop dół na łokieć i pół głęboki, a dwa średnicy mający. Wykop z jesieni, aby ziemia

miała czas przez zimę się rozkruszyć. Lubo po skończonej nauce ogrodniczej, przy zaprowadzeniu ogrodu wzorowego, mówić będziemy, w jaki sposób urządzają się kwatery, teraz wam tylko dam zasadę ogólną: aby drzewa sadzić takowym porządkiem, iżby do każdego z nich i w każdym czasie przystęp był wolny; drzewo bowiem szczególnej potrzebuje uwagi pieczy, bez tego nędznieby rosło, lub całkowicie upadło. Potem chociażby między drzewami siane były warzywa, jak nie będzie odstępu wolnego, toby się bezpotrzebnie wydeptały, czy to przy pielęgnowaniu drzewa, czy przy zbieraniu owocu. Przeto sadźcie drzewa przy brzegach kwater, przy których dajcie na łokieć szerokie dróżki. Dróżki podobne, nie tylko przyczyniają się do ozdoby, ale nawet dla samych warzyw są użyteczne, gdyż ułatwiają odpływ wody. Są tem w ogrodzie, czem przegony w polu.

Wymagają tylko, choćby dla samego ochędóstwa, aby były czysto utrzymane; przeto zielska, gdy zarosną, zeskrobać chciażby szpadlem zwyczajnym, a następnie wygrabić i wynieść za ogród. Ale możesz mieć i oddzielne narzędzie niekosztowne, które lada kowal zrobić potrafi. Narzędzie to nazywa się gracą do czyszczenia dróżek, podług obocznego rysunku *a*) część żelazna, którą kowal za dwa złote ze swojego żelaza zrobić powinien, *b*) rękojeść drewniana, *c*) miejsce do przymocowania gwoździem części żelaznej do drewnianej.



49. Samo zaś sadzenie drzew odbywa się w sposób następny: ze szkółki wybierz drzewo mocne, kształtne, niezbyt młode, opatrzone zdrowemi i licznemi oczami. Wyjmować je potrzeba z wszystkiemi korzeniami, wybierając ostrożnie bez gwałtownego wyrywania lub kaleczenia korzeni szpadlem. Drzewa wydobyte najlepiej zaraz sadzić, a gdy nie można dla jakich powodów, to je trzeba zadołować, to jest poukładać przy sobie pochyło, a korzenie umieścić w dole nieco wykopanym i przykryć je ziemią, żeby aż do czasu sadzenia na przewiew powietrza nie były wystawione. Gdyby korzeń był naderwany lub nadłamany, oberznij go skośnie nożem i zasmaruj maścią z mieszaniny krowiego nawozu i gliny. Drobne korzonki zachować najstaranniej, gdyż niemi drzewo naprzód soki z ziemi ciągnie.

Korzeń maciczny można nieco ukrócić. Kół cztery łokcie nad ziemią wystawać mający, do którego drzewo ma być przywiązane, wbić w środku dołu przed zasadzeniem drzewa, gdyż wbijając później, kaleczyłyby się korzenie. W sadzeniu, korzeni nie wpuszczać wgłąb, tylko rozkładać takowe naokoło równo, aby się na wszystkie strony rozchodziły. Korzenie rozdzielać, aby się dwa razem nie schodziły. Przesypywać rękami, ziemią kruchą, pulchną. Po zasadzeniu nie udeptywać nogami, tylko pod każde drzewo wylać kilka wiader wody, aby rozeszła się po całym dole i oblepiła korzenie. Drzewa nie zasadzać głębiej tylko o tyle, żeby korzenie na dwa cale ziemią okryte zostały. To jest cała nauka zasadzania drzew, łatwa, a przytem bardzo ważna, której przy sadzeniu pilnujcie się ściśle, jeżeli chcecie, aby się wam powiodło.

50. Drzewo po zasadzeniu zostaw na parę tygodni bez przywiązywania; po tym zaś czasie przywiąż powrosłem lub łyczkiem, w trzech miejscach niezbyt ścisło, aby nie naruszać kory. Dobrze bardzo jest między przywiązaniem, a korą założyć mchem, aby wiatr szamocąc drzewem, nie uszkadzał takowej. Drzewo przywiązane tak jak być powinno, daję wam w rysunku: *a*) drzewo, *b b b*) przewiązanie, *c*) kołek.



W roku pierwszym w czasie suszy długo trwającej, drzewo wymaga podlewania, rzadkiego, ale dobrego; przynajmniej wiadro wody pod sztukę. Uważać również należy, aby robaki łakome na młode drzewa pędow nie-

uszkadzały, które niszczyć starannie, na co wam się stosowne przepisy nieco później podadzą.

51. Staranne utrzymanie młodych drzewek przyczynia się do ich pomyślnego wzrostu i do dobrego owocowania; staranność ta zależy 1) na spulchnieniu kilkokrotnem do roku ziemi koło drzewa; 2) na ochędóstwie koło samego drzewa, jako to: zbieraniu gummy, ocieraniu mchu i chropowatości kory, zrzucaniu gniazd owadów; 3) jeżeliby drzewo jakim przypadkiem było skaleczone, zebrać gładko nożem ranę i zamazać maścią z odchodu krowiego i gliny. W drugim roku po zasadzeniu na wiosnę z silnych gałęzi zostaw trzy, a resztę gładko urznij nożem i maścią zasmaruj. W pierwszych latach nie trzeba się łakomić na owoc, gdyż to drzewo wyniszcza; lepiej nieco zaczekać, a mieć owoc i lepszy i w większej liczbie. Wiązania odmieniać corocznie, gdyż inaczej wpijałyby się w korę.

52. Moi kochani, gdy drzewa wam rodzić zaczną, pamiętajcie o tem dobrze, że o ile owoc zupełnie dojrzały jest zdrowym i pożytecznym pokarmem, o tyle przedwcześnie zebranym, niezdrowym i niesmacznym. Przy wyliczaniu szczególnych gatunków owoców, zwrócę waszą uwagę, jakie użytki i jaka wartość targowa może być owoców. W wartości przybliżoną cenę kłaść będę taką, jaką cenę otrzymać możecie bez pośrednictwa. Wam wywożącym samym zboże na targi sprzedaż cząstkowa owoców różnicy nie zrobi; a wypuszczanie sadów, a szczególniej klasie żydowskiej jest pod bardzo wielu względami szkodliwem: bo nie tylko wam drzewa wyniszczą, ale i wpływ moralny nie byłby z waszym pożytkiem.

Wkrótceby zrobili z waszych sadów to, co zrobili z dworskich paktów, i jak dla was, gdybyście na to mieli zakładać sady, żeby je żydom wypuszczać, to byłoby lepiej wcale ich nie zaprowadzać.

Na tem kończymy naukę sadzenia i pielęgnowania drzew owocowych, a następnie mówić będziemy o drzewach owocowych w szczególności co do gatunków.

Doniesienia o otwartych praktykach gospodarczych.

W OKRĘGU RADZYŃSKIM.

I. Dobra Siemień, u członka Towarzystwa Rolniczego, p. Jezierskiego Wiktora, potrzeba:

Do rybactwa na wielką skalę prowadzonego, praktykantów *dwóch.*

Do machiny parowej przy gorzelni urządzonej, a obecnie mającej się zastosować do młocarni i tartaku, praktykant *jeden.*

Do owczarstwa, praktykanta *jednego.*

Młodzież powinna posiadać nauki elementarne; właściciel ofiaruje w początkach pomieszkanie i żywność bezpłatnie.

II. Dobra Radzyń, własność członka Towarzystwa p. Kicińskiego Pawła:

Do owczarstwa, praktykantów *dwóch.*

Do ogrodnictwa, praktykanta *jednego.*

Właściciel ofiaruje pomieszkanie, stół i odzież.

III. Dobra Branica, własność członka Towarzystwa p. Rotarskiego Felixa:

Do cukrowni, praktykantów *dwóch.*

Do owczarstwa, praktykantów *dwóch.*

Na karbowych, praktykantów *dwóch.*

Właściciel przeznacza początkowo utrzymanie, później zaś dodatki pieniężne.

IV. Dobra Kock, własność członka Towarzystwa p. Fanschave'a (Fencza) Jerzego:

Do ogrodnictwa, praktykantów *dwóch.*

Ogród prowadzonym jest przez p. Wichrowskiego, który miał sobie przyznany przez Towarzystwo Rolnicze medal. Praktykanci powinni mieć ukończone lat piętnaście, być silni i zdrowi, umiejący czytać i pisać. Praktyka trwa lat trzy; właściciel zapewnia im bezpłatne utrzymanie.

V. Dobra Międzyrzec:

Do owczarstwa, praktykant *jeden*, z zapewnieniem utrzymania.

W OKRĘGU BIEBRZAŃSKIM.

VI. Dobra Ławsk, własność członka Towarzystwa p. Wojczyńskiego Jana:

Do ogólnego gospodarstwa, praktykantów *dwóch*; warunki są następujące:

a) Kandydat winien być synem zasłużonego oficyalisty, lub porządnego gospodarza rolnego, i to wiarogodnemi dowodami stwierdzić powinien.

b) Powinien mieć lat najmniej siedmnaście, a najwięcej dwadzieścia dwa, być zdrowym i dobrego prowadzenia.

c) Czytać, pisać, oraz przynajmniej cztery działania arytmetyczne umieć powinien.

d) Właściciel ofiaruje bezpłatnie stół i mieszkanie; bieliznę winien mieć swoję, na skromne zaś ubranie, jeżeli do gospodarstwa przykładać się będzie, otrzyma od właściciela każdy po złp. sto dwadzieścia.

W OKRĘGU RADOMSKOMSKIM.

VII. Dobra Maluszyn, własność Vice-Prezesa Towarzystwa Rolniczego p. Alexandra Ostrowskiego:

Do gospodarstwa, praktykant *jeden*.

Do nawodniania łąk, praktykant *jeden*.

VIII. Dobra Sulmierzyce, własność członka Towarzystwa p. Xawerego Turskiego:

Do gospodarstwa, praktykant *jeden*.

We wsi Bąkowej Górze, praktyka płatna przy zdolnym kowalu i ślusarzu.

Szkoły Rolnicze.

Ogłoszono w gazetach, że dla upowszechnienia pomiędzy ludnością włościańską niezbędnych wiadomości w gospodarstwie wiejskiem, ukształcenia zdatnych gospodarzy i rolników, oraz niższych oficyalistów w rozmaitych gałęziach gospodarstwa, ma być urządzone w każdej gubernii Królestwa na pierwszy raz po jednej szkole rolniczej, i z początkiem roku szkolnego 1859/60 otwarte zostały dwie takie szkoły: jedna w mieście Radomsku gubernii Warszawskiej, druga we wsi Niegłosach pod Płockiem; z począdkiem zaś r. szkolnego 1860/61, to jest z dniem 20 października (1 listopada) r. b., otwarte będą nowe dwie szkoły rolnicze, jedna pod Lublinem, druga pod Radomiem. Uczniowie tych szkół stosownie do usposobienia podzieleni będą na dwa oddziały, niższy i wyższy. Kurs nauk w oddziale niższym trwać będzie rok jeden lub dwa, w oddziale zaś wyższym od lat trzech do czterech, a to stosownie do zdolności, pilności i postępu uczniów. W oddziale niższym uczyć się będą: katechizmu, czytania i pisania popolsku i porossyjsku, rachunków, oraz będą obznajmiani z przystępnemi dla nich wiadomościami z nauki gospodarstwa wiejskiego i z praktycznemi zajęciami gospodarczo-wiejskiemi. W oddziale zaś wyższym wykładane będą przedmioty odpowiednio do przeznaczenia uczniów, a mianowicie: gospodarstwo wiejskie, ogrodnictwo, o uprawie warzywa, o hodowli bydła, o hodowaniu ptastwa domowego, pszczelnictwo, rybołowstwo, wiadomości z leśnictwa, potrzebniejsze wiadomości z weterynaryi, nauka zdejmowania planów mierniczych, zasady najprostszej niwelacyi, wiadomości z budownictwa wiejskiego, oraz doskonalić się będą uczniowie w tem, czego się uczyli w niższym oddziale; ciągle będą zajmowani praktycznie czynnościami gospodarsko-wiejskiemi, i sami będą wykonywali wszelkie roboty gospodarskie. Do szkoły rolniczej przyjmują się chłopcy wszelkich stanów; pierwszeństwo mają synowie włościan. Pragnący zapisać się do szkoły, winni być nie młodsi nad lat 13, nie starsi nad lat 18; obok tego powinni być zupełnie zdrowi. Dzieci słabowitego zdrowia, lub z oznakami chorób chronicznych przyjmowane nie będą; umiejący czytać i pisać po polsku i porossyjsku, oraz katechizm i cztery działania arytmetyczne, mogą być przyjęci wprost do oddziału wyższego, nie posiadający zaś tych wiadomości, przyjęci będą do oddziału niższego. Za naukę i utrzymanie ucznia w szkole rolniczej, ustanowiona jest opłata po rs. 50 rocznie. Uczniowie otrzymywać będą pomieszkanie, stół, odzież, opał, światło, bieliznę, pomoce naukowe i pomoc lekarską. Opłata wnoszoną być winna w półrocznych ratach z góry: od dnia 20 października (1 listopada) do 29 października (10 listopada i od dnia 19 kwietnia (1 maja) do 28 kwietnia (10 maja). Mający zamiar oddania chłopców do otwierających się obecnie szkół rolniczych pod Lublinem i Radomiem, zgłosić się winni o to w czasie od dnia 20 października (1 listopada) do 29 października (10 listopada) r. b., do będących na miejscu nauczycieli tychże szkół i złożyć dowody następujące: metrykę urodzenia, świadectwo lekarskie o stanie zdrowia i odbyciu ospy naturalnej lub szczepionej, książeczkę legitymacyjną, lub świadectwo miejscowej władzy, i deklaracyę na piśmie rodziców lub opiekunów, iż akuratnie wnosić będą ustanowioną opłatę szkolną.

Podobnież w miasteczkn Biało-Cerkwi w gubernii Kijowskiej, otworzono w końcu roku zeszłego i na początku bieżącego, cztery szkółki dla dzieci włościańskich, gdzie obecnie znajduje się 95 uczniów.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90— kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwolona, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie.
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 16 (28) października 1860 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*